

*Fragment*  
z rozdziału 36



Królewski delegat dogorywał w otwartej *celi*. Jako jedyny przeżył atak sendenickich zwiadowców niedaleko Oaz Murtagha. Naród, z którym miał pertraktować, a który go uwięził, był znany z brutalności w stosunku do wrogów mających odwagę podejść zbyt blisko miasta.

Sendenicy nie ufali nikomu, nawet swym braciom z Północy, jednakże nad wyraz nienawidzili Archeończyków. Zazdrościli im żyznych ziem, lasów oraz rzek pełnych ryb. Stepowi jeźdźcy wielokrotnie zapuszczali się na Południe, ale każdorazowo byli wypędzani stamtąd. Kres cichej wojnie pomiędzy stale najeżdżającymi Tereiny Centralne Sendenitami a Archeończykami położył Erredon, wznosząc majestatyczne *Wrota* pomiędzy dwoma niemalże nachodzącymi na siebie masywami górskimi – Pasmem Centralnym i Górąmi Niskimi.

Dziś Heren, podobnie jak niegdyś, było jedynie murami otaczającymi namioty. W mieście nie było więzie-

nia ze standardowymi celami, w których można by trzymać jeńców, dlatego za murami, po północnej stronie, wzniesiono tak zwaną *Arenę Skorpionów*. Najważniejszym jej elementem były wysokie na dziesięć stóp słupy z wypalanej gliny wymieszanej z włóknami trawy poprawiającymi ich wytrzymałość. U dołu takiego tworu mocowano linę i całość zakopywano w piasku. Wystawał jedynie górny koniec słupa i lina zaczepiona o jego dół znajdujący się głęboko pod ziemią. Przywiązywano do niej jeńca. Arenę otoczono wieńcem z cegieł wysokości dwudziestu stóp, a do jej środka wpuszczano skorpiony. Były ich setki, jeśli nie tysiące. Więźniowie przez cały czas musieli mieć się na baczności. Specjalnie wybierano dorosłe osobniki oraz gatunki, których jad nie był śmiertelny dla człowieka, aby nawet wielokrotne pokąsanie nie kończyło się śmiercią. Zdarzało się, iż ciałem skazańca przez pół dnia szarpały spazmy, ale ostatecznie dochodził do siebie.

Zanim Murtagh XXVI wszedł na arenę, strażnicy oczyścili przed nim drogę ze skorpionów, używającmiotów wykonanych z grubych, giętkich łodyg. Robili to bardzo dokładnie, tworząc w luźnym, piaszczystym podłożu rynnę, gdyż niektóre osobniki lubiły się w nim zakopywać.

Władca Stepów miał na sobie zwiewną, białą szatę z jedwabiu i wysokie nakrycie głowy z szerokim rondem chroniącym przed palącym słońcem.

Dawni Murtaghowie nosili miecze, jeździli konno, siadywali przy ogniskach oraz w namiotach ze swymi ludźmi i nie stronili od udziału w walkach. Późniejsi władcy zaczęli odseparowywać się od społeczeństwa,

nadając pojęciu *Murtagh* wyższe, niemalże boskie znaczenie. Zarówno wyglądem, jak i zwyczajami odróżniali się od wojowników, którym przewodzili. Nie stronili od przemocy, wręcz przeciwnie, ale żaden Murtagh nie nosił broni ani osobiście nikogo nie zabijał. Miał od tego kata, a jeżeli ten nie nadążał, z pomocą spieszył zastęp oddanych wojowników – straż przyboczna. Władcy Stepów byli światłymi ludźmi – obeznanymi z obyczajami innych narodów. Niektórzy znali także obce języki. Przed Murtaghiem, gdziekolwiek podązał, rozwijano dywan, aby jego bosych stóp nie raniły ostre trawy ani nie paliła nagrzana ziemia.

*Stepowy Wąż* specjalnie wybrał południową porę, aby więzień był jeszcze bardziej wycieńczony spiekotą niż o poranku czy wieczorem.

Zanim delegata umieszczono na arenie, rozebrano go do naga. Dawno już stracił rachubę czasu. Na całym ciele, także na twarzy, miał potężne pęcherze od słońca. Jego skóra była czerwona, jakby przypalona ogniem. Na nogach miał wiele krwawych znamion świadczących o ukąszeniach. Kilka dało się dostrzec także na rękach i na tułowiu. Więźniowie starali się unikać skorpionów tak długo, jak tylko byli w stanie, ale te często czały się w piasku, a czasem po prostu skazaniec nie wytrzymał i padał z wycieńczenia, przewracając się na jadowite stworzenia.

– Powstań, Archeończyku... – rzekł *Wąż* w ojczystym języku delegata. Ten próbował podnieść się z kłeczek, ale był za słaby.

Murtagh obrócił głowę w stronę strażnika, który bez zastanowienia zdzielił więźnia trawiastym biczem, roz-

rywając kilka strupów na plecach. Pocięła z nich podbarwiona krwią wydzielina. Jeniec zawył z bólu i padł na twarz, zanurzając usta w piasku.

– Nie, głupcze! Miałeś mu dać wody!

– Wybacz, panie. Podnieście go! – krzyknął opiekun areny do podległych mu ludzi. Napoili więźnia i puścili go. Z jękiem upadł na kolana. Nie miał siły podnieść skrępowanych rąk, aby osłonić się przed słońcem i spojrzeć w twarz człowieka, który do niego mówił.

– Jak mam z nim rozmawiać? Nawet nie jest w stanie na mnie spojrzeć – rzucił zniesmaczony Murtagh.

– Podnieść więźnia!

Strażnicy złapali delegata pod ramiona. Bezwładne ciało powędrowało w górę. Głowa skazańca znalazła się na wysokości twarzy Murtagha.

– Jak będzie, Archeończyku? Powiesz mi, co chcę wiedzieć, czy dalej upierasz się przy walce ze skorpionami na ich arenie?

– Pa... panie – wyjąkał delegat. – Nie wiem... tego, o co... pytasz...

– Wspomnę tylko – Murtagh się rozejrzał – że mamy jeszcze węże i pająki. Uznaj więc dotychczasowy wybór twego miejsca pobytu za litość i łaskę z mej strony. Martwi mnie, że jej nie doceniasz.

– Doceniam... panie...

– Nie sądzę... Cóż... Próbowiałem...

– Panie mój! – zawołał strażnik za odchodzącym władcą. – Jakie są twe rozkazy?

– Do studni z nim...

Sendenicy rozwiązali skazańca. Na nadgarstkach miał rozlane krwiaki i poprzecieraną skórę – długo walczył

z losem, próbując się oswobodzić i uciec z tego *Przed-sionka Czeluści*.

Zaprowadzono go w okolice studni, która była zwy- czajną dziurą w ziemi o wzmocnionych ścianach. Obok leżała drewniana pokrywa.

Archeończyk zerknął do środka. Nie było w niej wody. Widział jedynie szare smugi na czarnym tle. Przy- mrużył oczy, aby lepiej się im przyjrzeć i wtedy go pchnię- to. Poleciał głową w dół w czarną otchłań. Uderzył bar- kiem o ścianę i odbił się od niej. Przeleciał przez kilka warstw lepkiej struktury podobnej do cienkiego mate- riału. Już w locie pogodził się ze śmiercią. Padł na pod- łoże, które okazało się nad wyraz miękkie, choć nie było piaskiem. Przeżył...

Upadając, zmiażdżył coś. To *coś...* poruszało się. W świetle otworu dostrzegł włochate odwłoki i odnóża pajaków. Niektóre utrzymywały się na porwanych paję- czynach, inne wolno zmierzały w dół – w stronę wroga, który naruszył ich terytorium.

Pająki zaczęły wdrapywać się na ciało i kąsać. Delegat chciał je odgonić, ale kończyny nie reagowały. Choć miał połamane ręce i nogi, nie czuł bólu. Dopiero po chwili zrozumiał, iż potrafi jedynie patrzeć w różne kierunki.

To było cudowne. Ból wreszcie minął.

Wkrótce stworzeń było tak wiele, że obsiadły mu twarz.



Rozczarowany Murtagh wrócił do swego białego namiotu, a sługom kazał wezwać dowódców. Usiadł na

plecionym tronie wykonanym z najtwardszych traw, jakie porastały stepy. W bezruchu oczekiwał na wojowników. Ostatniego, który się zjawił, kazał wychłostać za spóźnienie.

Potężny Sendenita służący Murtaghowi swym zakrzywionym ostrzem, biczem i ciałem, odwiązał swą *ofiara* od drewnianego tworu przypominającego konia, który ociekał krwią, podobnie jak plecy spóźnialskiego dowódcy. Władca Stepów opłukał ręce w przyniesionej mu złotej misce, zmywając z nich krew, którą tak naprawdę miał na sobie kat.

– Moi wodzowie... Archeoński wysłannik nie chciał ze mną współpracować. Nie zdradził mi sekretów ich miast. Musimy podjąć decyzję, bo czas nagli.

Dowódcy spojrzeli po sobie. Żaden z nich nie wiedział, co Murtagh planuje...

– Mam nadzieję, że wybaczycie mi, iż chcę wyruszyć na podbój terenów, o których tak niewiele wiemy. Już wielokrotnie próbowaliśmy wyrwać archeońskim psom skrawek zielonych ziem, ale za każdym razem cofaliśmy się pod naporem wroga, który bronił swego równie żarcie jak matka jaguara młodych.

*Pan Trawiastych Pustkowi* wstał i podszedł do dowódców. Dostrzegł w ich oczach żądzę walki. *Stepowy Wąż* wreszcie miał się ujawnić – wypełznąć spod ziemi i ukąsić boleśniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Archeon krwawi, a ja chcę, żeby krwawił bardziej... Chcę wyssać z niego ostatnią kroplę krwi... Chcę broczyć w niej bosymi stopami... Chcę się w niej wykapać... Chcę się w niej topić, aby zalała mi płuca... Chcę oddychać ich krwią...